BIULETYN

KAWALIERA

KOŁO NR 21 STOWARZYSZENIA SAPERÓW POLSKICH W DRAWNIE
IZBA HISTORYCZNA ZIEMI PEŁCZYCKIEJ W PEŁCZYCACH

Nr 2/ 2013

Zmarł ks. Stanisław Gulczyński - PIERWSZY PRAŁAT

W lutym tego roku podczas uroczystości Dnia Kombatanta i Osadnika przewodniczący Rady Miasta Drawna, Czesław Paszkiewicz, odczytał okolicznościową uchwałę nadającą ks. prałatowi Stanisławowi Gulczyńskiemu tytuł i statuetkę Drawnianina Roku 2012. Niestety minęło kilka miesięcy i nadeszła smutna wiadomość o śmierci Dostojnego Laureata. Był pierwszym w historii Drawna prałatem. Wspominając ks. prałata Stanisława Gulczyńskiego, wyrażam swoją wdzięczność za kilkanaście lat okazywanej mi przez Niego życzliwości, za pomoc w utrwaleniu pamięci o jednostkach WP w Drawnie, o cierpiących na tej ziemi w czasie minionej wojny, o saperskim trudzie i ich patronie. Ksiądz prałat Stanisław Gulczyński był człowiekiem skromnym i głębokiej wiary, jednocześnie niemal codziennie okazywał swój wielki patriotyzm. Jego kapłańska postawa była pełna oddania służbie Bogu i Ojczyźnie. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się w dniu 07.05.2013 o godz.11.00 Mszą Świętą żałobną w miejscowym kościele parafialnym p.w. Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Przewodniczył im Metropolita Archidiecezji Szczecińsko - Kamieńskiej ks. abp Andrzej Dzięga. Ś. p. Księdza Prałata obok najbliższej rodziny odprowadzili w kondukcie pogrzebowym z kościoła na miejscowy cmentarz licznie przybyli na tę uroczystość kapłani, mieszkańcy Drawna, znajomi ,przyjaciele, władze samorządowe, przedstawiciele niemal wszystkich miejscowych zakładów pracy, organizacji społecznych, stronnictw i służb mundurowych z terenu Powiatu Choszczeńskiego. Uroczystości uświetniła doskonale prezentująca się kompania honorowa Komendy Powiatowej PSP w Choszcznie. Nad porządkiem i bezpieczeństwem czuwały patrole Policji Państwowej , Żandarmerii Wojskowej i członkowie miejscowej OSP. Ś. p. Księdza Prałata w imieniu mieszkańców Gminy Drawno pożegnał przy mogile burmistrz Andrzej Chmielewski. Grób zakryły wieńce i wiązanki kwiatów, zapalono liczne znicze. Jeszcze w godzinach popołudniowych nad mogiłą kapłana zadumali się Ci, którzy z różnych powodów nie mogli uczestniczyć w pogrzebie. Tak Drawno oddało hołd człowiekowi ,który miał niewątpliwy wpływ na historię miasta.

Służba zdrowia na terenie miasta Bursztynowo w 1945 roku.

Ziemia Pełczycka zgodnie z postanowieniami konwencji poczdamskiej (17.07.1945-02.08.1945 r. w Poczdamie) znalazła się w obrębie Ziem Odzyskanych przekazanych nowemu państwu polskiemu. Na terenie powiatu myśliborskiego, do którego należała również gmina Pełczyce zamieszkiwała niewielka liczba ludności polskiej, w większości byli to pracownicy przymusowi i sezonowi, osoby powracające po kapitulacji hitlerowskich Niemiec z niewoli. Na terenie miasta Bursztynowo w owym czasie przebywało 240 obywateli polskich oraz 1557 osób narodowości niemieckiej, która nie została jeszcze wysiedlona. W wyniku działań wojennych zostało niszczone 30 % budynków, spaleniu uległ dworzec kolejowy, zniszczeniu infrastruktura

kolejowa, wodno – kanalizacyjna, a brak oleju napędowego uniemożliwiał łączność i zaopatrzenie. Prowizoryczna elektrownia została przebudowana i przejęta od władz radzieckich. Nie zaspokajała potrzeb miasta. Zniszczenia, duży bałagan, gnijące śmieci na ulicy, woda nie nadająca się do picia wskutek zanieczyszczeń, brak środków czystości, nieodpowiednia higiena stwarzały warunki do występowania epidemii. Na Ziemiach Odzyskanych w 1945 roku panował dur brzuszny (tyfus brzuszny), tyfus plamisty, świerzb, gruźlica i choroby weneryczne. Ruch migracyjny stwarzał warunki do rozprzestrzeniania się chorób zakaźnych. Na nowych ziemiach przybywało ludności z obozów jenieckich, obozów pracy z Niemiec, osadników z ziem dawnej Polski i repatriantów z ZSSR, osób skrajnie wycieńczonych długotrwałą wojną i niedożywionych. Przebyte wcześniej choroby uodparniały na ponowne zachorowanie. Najczęściej zapadali na choroby obywatele niemieccy. Dość dobrze odżywieni, przebywający w dobrych warunkach bytowych (oprócz uciekinierów przed Armią Czerwoną), wcześniej nie chorujący, podatni byli na zarażanie się chorobami zakaźnymi.

W celu poprawy sytuacji zdrowia mieszkańców rząd Polski Ludowej powołał Zarząd Pełnomocnika Rządu dla Pomorza Zachodniego Wydział Zdrowia wydał instrukcję tymczasową dla szpitali ogólnych na terenie Pomorza Zachodniego zobowiązując do przesyłania miesięcznych sprawozdań w 2 egzemplarzach.

Lekarzem powiatowym na obwód myśliborski został doktor Michał Jakimiec. Sytuacja służby zdrowia w powiecie myśliborskim była tragiczna. W wyniku zanieczyszczenia i zdewastowania budynku szpitala w Barlinku Szpital Miejski czasowo znajdował się w miejscowości Żydowo, gdzie przebywało 90 chorych, w tym 45 z objawami tyfusu brzusznego.

Fot.1. budynek szpitala na niemieckiej pocztówce

W Bursztynowie budynek szpitala (pierwsze wzmianki o szpitalu w Bernstein pochodzą z 1801 r.) obsługiwały siostry Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

Zbudowany był z czerwonej cegły, jednopiętrowy (obecnie należy do Parafii Rzymsko Katolickiej pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Pełczycach). Wewnątrz szpitala znajdowały się pięć sal w tym jedna opatrunkowa. Posiadał on urządzenia kąpieliskowe, które nie były czynne z powodu braku elektryczności.

Klinika nie była wyposażona w aparaty dezynfekcyjne, posiadała jedynie 7 łóżek dla pacjentów, co było niewystarczającą liczbą. Pacjenci przybywający na oddział szpitala zmuszeni byli przynosić swoje łóżka. Obok murowanego budynku znajdował się drewniany dla chorych z pięcioma izbami bez wystarczającego wyposażenia. Zarząd Miejski Miasta Bursztynowa na swój koszt w czerwcu 1945 roku wykonał najpotrzebniejszy remont budynku pomocniczego. Burmistrz Kamionka alarmował w swoim sprawozdaniu z 19.09.1945 r „ *Na nadchodzącą zimę brak w szpitalu pomocniczym we wszystkich salach pieców, jak również opału dla wszystkich pomieszczeń w obu budynkach szpitala"* .

Staraniem Zarządu Miejskiego w Bursztynowie (zarząd powołany był w maju 1945, burmistrzem mianowano Mieczysława Kamionkę) przeprowadzono akcję szczepień przeciwko durowi brzusznemu, która objęła ok. 400 Niemców i 80 % Polaków. Akcję szczepień zorganizowały siostry Niemieckiego Czerwonego Krzyża, które dzielnie walczyły z trudnościami i wzrostem zachorowań. W piśmie sporządzonym przez siostrę Ellę Dumat (ur. 27.01.1896 r.) z dn. 14.09.1945 r. do Zarządu Miasta wynikało, że szczepieniem przeciwko tyfusowi objęto 670 mieszkańców Bernstein i 111 osób z gromady Bärfelde (Bolewice). Jednocześnie prosiła o 11 fiolek szczepionki, w tym 5 butelek do dyspozycji oraz dotykowe szczepionki dla: Hasselbursch (Niesporowic), Rehfelde (Sarnika), Krining (Krzynki), Hohengrapow (Chrapowa), Gross Ehrenberg (Przekolna).Pomimo szczepień profilaktycznych wzrastała liczba zgonów, tygodniowo umierało 5 osób na 2000 mieszkańców Bursztynowa. W księdze zmarłych założonej przez Zarząd Miasta w okresie od 27 sierpnia – 30.11.1945 r. odnotowano 34 zgony, zaś w roku 1946- 46 zgonów. W szpitalu przebywało 20 osób chorych zakaźnie. Szacuje się, że liczba chorych wenerycznie Niemców sięgała nawet 30% (niestety w raportach nie podaje się przyczyny tej choroby w Bursztynowie. Możemy domyślać się, że powodem tak dużej liczy zachorowań na choroby weneryczne były gwałty popełnione na kobietach niemieckich w trakcie działań wojennych jak i po zdobyciu mias). Wstydliwy dokument posiadał adnotację „poufne i tajne" Sporządzony został w dniu 04.12.1945 r. Z treści dokumentu wynikało, że należy zgromadzić wszystkich starców i niezdolnych do pracy

w przytułku, zaś chorych wenerycznie w miejscu izolacyjnym w celu leczenia. W październiku 1945 roku siostry Szpitala Miejskiego odmawiały przyjęcia nowych pacjentów i w miarę możliwości zwalniały pozostałych, przygotowując się do opuszczenia szpitala (likwidacji) i wyjechania do Berlina. Wynikało to z ograniczenia racji żywności dla pacjentów i personelu oraz zupełnego pozbawienia racji mleka przez Zarząd Miasta. Siostry również w akcji protestacyjnej odmawiały składania sprawozdań i stosowania się do zarządzeń urzędu, uniemożliwiając sporządzanie raportów o stanie chorób zakaźnych do Obwodowego Pomocnika Rzeczypospolitej Polskiej na Obwód Myśliborski - Lekarza Powiatowego. Ostatecznie szpital został przekazany przez niemieckie siostry w grudniu 1945 roku i przejęty przez władze miasta. Siostra Ella Dumat znalazła się na liście Niemców, którzy „ochotniczo" wyjechali za Odrę. Spis mieszkańców opuszczających Bursztynowo sporządzono w dniu 06.12.1945 r. i przesłano do Obwodowego Pełnomocnika Rządu R.P Obwód Myślibórz. Mniej więcej w tym samym czasie Szpitalowi Miejskiemu zostały bezpłatnie przekazane lekarstwa, które zostały zarekwirowane u Niemki, niejakiej Nowak, która według władz miasta nieprawnie prowadziła praktyki lekarskie. Pierwszym lekarzem i kierownikiem Miejskiego Szpitala w Bursztynowie został Aleksander Demenko (ur. 03.08.1912 r.), który bobrze zapisał się w historii miasta.

(budynek , gdzie znajdowała się apteka przy Stargarde strasse)

W Bursztynowie znajdowała się apteka przy ul. Starogrodzkiej (obecnie ul. R. Bursztynowy 7), która uległa częściowemu zniszczeniu w wyniku walk o miasto. Część budynku została zajęta na potrzeby Posterunku Milicji Obywatelskiej. Do dzisiaj niewyjaśnione są losy aptekarza i jego rodziny (w latach 60 - tych w trakcie remontu budynku przy ul. R. Bursztynowy odnaleziono w bramie zakopanych ok. 10 zwłok ludzkich ułożonych jedno na drugim. Zwłoki na samym dnie znajdowały się w dość dobrym stanie. Czyżby ciała należały do aptekarza i jego rodziny ? Sprawa czeka na rozwiązanie).

Gerard Sopiński

Źródło
Archiwum Państwowe w Szczecinie

Wspomnienia Krystyny Kłys z domu Brzęczek

Urodziłam się w Krzynkach (Kryning), w 1933 roku w glinianym domu. Tego samego roku kanclerzem Niemiec został Adolf Hitler, którego polityka nacjonalistyczna doprowadziła do nieszczęść milionów ludzi, w tym również mieszkańców mojej rodzinnej miejscowości. Sąsiadką z glinianego domku była Niemka Frau Krebko, starsza pani, która opiekowała się mną, gdy mama była chora . Z tego powodu wśród rówieśników budziłam podziw, uważano mnie za odważne dziecko, bowiem wierzono, że pani Krebko jest czarownicą. Starsza pani, licząca wówczas około 70 lat miała odprawiać czarne msze przy pomocy Biblii, wewnątrz której miały znajdować się diabły. Z zainteresowaniem będąc w pokoju starowinki szukałam magicznej Biblii albowiem byłam niezmiernie ciekawa wyglądu czarta. Ciekawiło mnie czy ma rogi i ogon. Niestety, nigdy belzebuba u Frau Krebko nie widziałam, natomiast pani częstowała mnie jedzeniem, którego nie odmawiałam. Później uzmysłowiłam sobie, że w każdym niemieckim mieszkaniu wisi portret diabła

przedstawiającego pana w mundurze, z krótkim wąsikiem i grzywką zaczesaną na lewą stronę.

Szkoła w Krzynkach znajdowała się naprzeciwko kościoła ewangelickiego (obecnie kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem Chrystusa Dobrego Pasterza), do niej uczęszczały dzieci polskie i niemieckie. Nauczycielem w placówce oświatowej był Herr Hartwig, nielubiany przez dzieci, ponieważ bardzo często krzyczał, bił linijką po rękach. W kancelarii jego wisiał portret fuhrera. Jego żona, również nauczycielka była osobą łagodnie usposobioną, dzieci ją uwielbiały, chodziła z nami na spacery do lasu. Uczyła również w Niesporowicach, ponieważ miejscowy nauczyciel został powołany w czasie wojny do wojska. Nie bardzo rozumiałam, dlaczego w szkole dzieci niemieckie i polskie siedzą osobno. Uczniowie rosyjscy, którzy również mieszkali w Krzynkach nie mogli bywać w szkole w ogóle. Z czasem zostałam poinformowana, że dzieci polskie edukację w niemieckiej szkole zawdzięczały właścicielowi majątku Herr Fritzowi Hinz, który nie życzył sobie abyśmy pod nieobecność pracujących rodziców „szwendały" się po wiosce bez opieki. Po lekcjach latem przechadzaliśmy się nad jezioro Duży Pełcz, gdzie dziatwa polska i niemiecka kąpała się razem i grała w klasy. Nieraz zdarzało się, że w stosunku do nas używano sformowania „polskie świnie".

Pierwsza z lewej: Krystyna Brzęczek, z matką i siostrą Heleną z zabawkami od pani Hinz , 12.10.1937 r.)

Były to jednak przypadki marginalne, z czasem przyzwyczaiłam się do tego przykrego określenia.

Tata Józef pracował u Herr Hinza w polu, był brygadzistą, a w czasie wojny tłumaczem. Zimą stawał o 4 rano i jeździł na pole w kierunku miejscowości Bobrówko, gdzie rozpalał piec w maszynie parowej. U właściciela majątku pracowała pani Maria-krawcowa. Miała złoty ząb, była niezwykle ładną kobietą. Żona Hinza odczuwała zazdrość, pracowała również sekretarka –Niemka Elza, która miała pieska. Żona Hinza na Boże Narodzenie wszystkim dzieciom robiła paczki, na szczęście nie dzieliła nas ze względu na narodowość. Gospodarz bardzo dbał o swoich pracowników, odwiedzał ich w mieszkaniach, sprawdzał w jakich warunkach żyjemy, najbardziej zwracał uwagę na higienę. Interesował się również, czy wymieniliśmy siano w pryczach. Wtedy nie było materaców, spaliśmy na siane, które przykrywaliśmy siwymi kocami. Do chorych wzywał lekarza z Pełczyc (Bernstein) -doktora Szrödera, który przyjeżdżał swoim pięknym samochodem, w tamtym czasie była do rzadkość. Doktor był wielkoduszny dla Polaków, w czasie wojny wystawiał chorym zwolnienia lekarskie chroniąc ich od ciężkiej pracy. Syn posiadacza ziemskiego przeżył wojnę, choć był żołnierzem Wehrmachtu. Fritz Hinz wraz z rodziną i sekretarką Elzą zdążyli ewakuować się przed wojskami Armii Czerwonej, Do dzisiejszego dnia ciepło wspominam tę rodzinę za serdeczność i serce jakie nam okazywali.

(Pałac Fritza Hinza w Kryning)

W parku w pałacu mieszkał właściciel Herr Heilgendorf, żona jego zmarła, ponieważ chorowała na płuca. Została pochowana na terenie parku. W miejscu, gdzie spoczywa urna z jej prochami znajduje się pomnik wykonany z kamienia. Siostra właściciela Anna Streffe była jego gospodynią.

Tata jeździł ze mną rowerem do kościoła katolickiego w Chrapowie, zawsze siedziałam na bagażniku trzymając papę z tyłu za plecy. Podróż rowerem trwała ponad godzinę w jedną stronę, po drodze podziwiałam okolicę, jeździliśmy przez Ługowo i Pełczyce. Msze odbywały się w kościółku, który stał w parku, odprawiał

je po łacinie ksiądz Edmund Helewski, jedyny katolicki duchowny w okolicy. Pamiętam, że pewnego razu ksiądz poprosił tatę na bok, rozmawiali ze sobą w języku polskim. Starali się, żeby nikt ich nie słyszał. Widocznie bał się rozmawiać po polsku tym bardziej, że był Niemcem. Wszyscy Polacy wiedzieli, że mogą liczyć na niego, który serdecznie odnosił się do pracowników sezonowych i przymusowych. Śmialiśmy się, że to musi być nasz człowiek, bo miał imię i nazwisko brzmiące po polsku.

Na podwórku trzymaliśmy króliki, karmiliśmy je zielskiem. Pracownicy przymusowi z Francji również trzymali króliki, karmili je jednak marchewką, którą przynosili z gospodarstwa. Drobiu zgodnie z zarządzeniem niemieckim trzymać nie mogliśmy. Rodzice trzymali kury w piwnicy, ponieważ obawiali się srogich kar. Zarządzenie dotyczyło oczywiście Polaków, Francuzów i Rosjan. W roku 1944 nikt już jednak nie zwracał uwagi na zakaz. Kury w następstwie tego odzyskały wolność, od tej chwili godnie spacerowały po podwórku rozgrzebując pazurami ziemię w poszukiwaniu robaków. Ojciec miał również schowane radio i po cichu wieczorami nasłuchiwał wieści z frontu, wiedział, że armia radziecka zbliża się w naszym kierunku. Zasłaniał wtedy okna, bo szpicli nie brakowało. Byli i tacy Niemcy, którzy wierzyli w ostateczne zwycięstwo Jeden z nich, który był zatrudniony w gorzelni stracił trzech synów na froncie, a czwarty bardzo ciężko ranny leżał w szpitalu. Pomimo tego nie tracił wiary w Adolfa Hitlera, do Polaków i innych pracowników przymusowych ustosunkowany był szczególnie wrogo, zajmował się również donosicielstwem. Był to Niemiec, o którym dobrego słowa powiedzieć nie mogę, lecz mimo wszystko w Krzynkach przeważali dobrzy ludzie. Pewnego razu gorzelany poprosił tatę o naprawienie butów, a że rodzic uchodził za złotą rączkę obuwie naprawił fachowo. Otrzymał za to zapłatę – jeden mały słoiczek z kaszanką. Po wkroczeniu żołnierzy radzieckich do wioski gorzelany za swoje niecne czyny i postawę w stosunku do pracowników innej narodowości został zabrany przez sołdatów do lasu i zastrzelony. Nikt nie wie, gdzie został pochowany. Nie wszyscy Niemcy wierzyli w zwycięstwo, zorientowałam się z czasem, że wśród nich dojrzewa myśl, że wojna jest przez nich przegrana i że liczą się z zemstą żołnierzy Armii Czerwonej, która niedługo miała nastąpić.

(sekretarka Elza z pieskiem)

Pracownicy sezonowi i przymusowi w soboty wieczorem spotykali się u sołtysa Schulza (obecnie gospodarstwo z budynkiem mieszkalnym zajmuje pan Zwiech), tam też grali na organkach, śpiewali piosenki, przekazywali sobie ukradkiem wiadomości o zbliżającej się wolności. Z tego powodu sołtysa odwiedził żandarm z Pełczyc, który przyjechał do niego rowerem.

- Panie sołtysie słyszałem, że u was na terenie gospodarstwa spotykają się wieczorami Polacy, głośno się zachowują, śpiewają piosenki, tak być nie może! Nasi żołnierze giną na froncie, a oni sobie śpiewają , niedługo to i buntować się będą ! – powiedział żandarm.
- Wie pan, lepiej, żeby się u mnie spotykali, gdzie mają chodzić, pójdą do lasu i tam dopiero spisek zawiążą, a ja tutaj ma ich na oku. Jakby było coś nie tak, to od razu bym zameldował władzy, przecież jestem porządny Niemiec – odparł sołtys.
- Sołtysie żartowałem, wiem, że pan jest dobrym Niemcem i szanowanym, donos złożył sąsiad z naprzeciwka, bo mu polskie piosenki wieczorem przeszkadzają . Ja nic do pana nie mam, karać nie będę tylko pouczam, niech pracownicy zachowują się ciszej.

Tak też sołtys wybrnął z opałów, lubił Polaków, Rosjan i Francuzów.
Pewnego razu odwiedził go tata. Zauważył, że mieszkanie sprząta znajoma Polka. Sołtys z butami wszedł na mokrą podłogę i wtedy sprzątaczka krzyknęła na niego:
- Co nie widzi pan, że podłoga mokra, gdzie się sołtys z buciorami pcha!
Sołtys śmiejąc się rzekł do ojca:
- Widzi Joseph (Józef), ja nie mam spokoju w domu, sprzątaczka na mnie krzyczy.
Przykład ten wskazuje w jakich stosunkach sołtys wsi był z Polakami, nie traktował ich jak niewolników, odnosił się do nas z szacunkiem, nigdy się nie wywyższał i nie twierdził, że jest z „rasy panów". Człowieczeństwo, którym wykazywał się sołtys w tamtym okresie niedługo miało mu uratować życie. Z jego wnukiem Host Schulzem uczęszczałam do szkoły w Krzynkach.

Pod koniec roku 1944 zauważyłam, że część Niemców z Krzynek ewakuuje się w miarę posuwania się frontu wschodniego w naszą stronę. Nasi sąsiedzi z całymi taborami opuszczali swoje rodzinne strony na zawsze - wyjeżdżali zza Odrę, by nigdy już nie wrócić do swoich zabudowań. Tak też przed Rosjanami zdążyła uciec moja koleżanka z klasy Trauta Knoll, której tata był leśniczym. Mieszkali w pięknym domu, w

którym ją odwiedzałam. Szczególnie utkwiły mi w pamięci klatki z kanarkami oraz pokój pełen rogów. Oprócz tego leśniczy znany był z hodowli jamników długowłosych, która była jedną z większych i najpiękniejszych w Europie. Szczeniaki trzymał w mieszkaniu, większe psy przetrzymywał w zabudowaniach gospodarczych przygotowanych w tym celu. Wraz z gajowym Krzynki opuścił pomocnik Eick Horst, drugi pomocnik został, ponieważ jego rodzice zginęli w trakcie nalotu dywanowego na Berlin. Nieszczęśliwiec wziął broń leśniczego i koniem z bryczką pojechał lasem w kierunku Dankowa, gdzie byli już Rosjanie, jechał na spotkanie z przeznaczeniem. W połowie drogi do Dankowa został zastrzelony przez czerwonoarmistów, leży pochowany w lesie po dzisiejszy dzień, który pokochał nade wszystko. Z koleżanką Irmą Hartwig zapragnęłyśmy pomóc pieskom, które zostały same w leśniczówce, aczkolwiek chciałyśmy również zabrać część zwierzaków ze sobą. Nie mówiąc nic rodzicom wybrałyśmy się do leśniczówki przez las, na miejscu ochoczo zabrałyśmy się za łapanie jamników. Ni stąd ni zowąd nagle nadleciał samolot, na skrzydłach miał czerwone gwiazdy, znajdował się tak nisko, że widziałam twarz pilota. Minął nas i zawrócił. Wtedy zaczął strzelać ze wszystkich karabinów, które wściekle ziały ogniem w budynek, w podwórko i w nas. Z Irmą, zachowując spokój schowałyśmy się do zabudowań gospodarczych, a gdy pilot nie dawał dalej za wygraną pobiegłyśmy do piwnicy z trzema małymi jamnikami, które wcześniej złapałyśmy. Gdy samolot odleciał, drogą leśną przestraszone z pieskami za pazuchą wracałyśmy z wyprawy. Na drodze koło skrzyżowania zauważyłyśmy martwego żołnierza niemieckiego, którego nogi bez butów znajdowały się na drodze, pozostała część ciała leżała na poboczu, ręce miał nad głową, w policzku dziurę po pocisku Musieli złapać go Rosjanie, biedak poddał się, podniósł ręce do góry, pomimo tego zginął. Dla nas młodych dziewcząt był to straszny widok. Przyjaciółka wzięła jednego jamnika, a ja zabrałam dwa, dałam im na imię Bojer i Lili. Niestety rodzice nie byli zadowoleni z tej wyprawy, o której ich nie poinformowałam, gdyż wiedziałam, że mi zabronią tam iść. W roku 1943 i 1944 często słyszeliśmy nadlatujące samoloty w kierunku Szczecina, w nocy obowiązywało całkowite zaciemnienie. Pewnego wieczoru zrzucono bomby do jeziora Duży Pełcz. Huk wybuchających bomb był tak przeraźliwy, że we wszystkich oknach w wiosce drżały szyby.

(Eick Horst z żoną , lata 80

Zimą 1945 roku od strony Machar do wioski wjechały dwa radzieckie czołgi, które dwa razy wystrzeliły. Żadne wojsko nie broniło naszej miejscowości, więc obyło się bez strzelaniny. Tata znał dobrze język radziecki, dzięki czemu mógł wszystkim pomóc. Jednak pierwsze spotkanie z Rosjanami nie należało do przyjemnych. Rodzic został pozbawiony zegarka kieszonkowego, który miał zawsze przy sobie od kiedy tylko pamiętam. Po wkroczeniu wojsk działy się straszne rzeczy, wspomnienia tamtych dni po dzisiejszy dzień budzą we mnie odrazę. Rosjanie dokładnie przetrząsali domy, kradli co popadnie, gwałcili niemieckie kobiety, wywozili meble z dwóch pałaców. W naszym mieszkaniu rodzice ukryli 7 młodych Niemek, które siedziały kilka dni bez wychodzenia na zewnątrz, nie mogliśmy im podać jedzenia, ponieważ stacjonowali u nas Rosjanie -lejtnant i major. Nawet nie zdawali sobie sprawy , że w piwnicy są ukryte młode dziewczyny. Pewnego razu przyszli podpici żołnierze z dumą oświadczyli: „spaliliśmy Hitlera”. Widać było, że od strony leśniczówki unosił się dym. Okazało się, że w trakcie przeszukiwania domu znaleźli mundur leśniczego, to wystarczyło. Spalili budynki wraz z jamnikami. Raz ojca zabrali Rosjanie ze sobą, miał pokazywać okoliczne drogi. Nie było go 3 dni, mama płakała, bo myślała, że tata już nie wróci, na szczęście pojawił się cały i zdrowy. Rodzic został sołtysem wsi. Odwiedzając byłego przedstawiciela samorządu zauważył jak żołnierz uderzył go w twarz. Na to sołtys Schulz:

- A za co ty mnie bijesz rosyjski żołnierzu! -powiedział.

Wtedy żołnierz zdenerwowany, że Niemiec śmiał mu odpyskować kopnął go i krzyczał :

- Ty niemiecka świnio, ja ci pokażę! Rękę wsadził do kabury po pistolet.

Tata w porę zareagował, wytłumaczył, że to jest dobry Niemiec, nie faszysta, wszystkich szanował, Rosjan, którzy pracowali w Krzynkach również. To uratowało Niemcowi życie.

Z czerwonoarmistami mieliśmy też trochę śmiechu. Pewnego razu, gdy był jeszcze lód na jeziorze od strony Niesporowic jechali Rosjanie do gorzelni w Krzynkach. Skracając sobie drogę wjechali na lód. Padał deszcz. Gdy się zatrzymali nie mogli ruszyć, bo było ślisko. Pojazd zostawili, lód stopniał a samochód utonął w głębi jeziora. Drugim razem nieświadomy czołgista koło gorzeli wjechał do jeziora, na jego nieszczęście

jezioro w tym miejscu ma parę metrów głębokości. Nie wiem czy zdążył on opuścić swój pojazd. Jeszcze po wojnie chciano czołg wyciągnąć z jeziora, jednak łańcuchy się urywały.

W 1946 roku w pałacu Hinca Polacy zorganizowali zabawę. Przyjechali mężczyźni z okolicznych miejscowości przywożąc ze sobą niemieckie kobiety. W trakcie zabawy doszło do kłótni o piękna niemiecką dziewczynę. Pijany milicjant zastrzelił Jana Jańczaka. Śmierć była zupełnie niepotrzebna, wojna się skończyła, jednak nadal ginęliśmy, tym razem mordowaliśmy się sami. Jan Jańczak został pochowany na cmentarzu w Krzynkach. Kilka dni po jego śmierci z żalu zmarła jego siostra, która spoczęła koło niego. W czasie wojny bywały różne sytuacje, że niektórzy zatracali swoje człowieczeństwo, ale byli dobrzy Polacy, Niemcy i Rosjanie.

Wspomnienia moje oparłam na autentycznych wydarzeniach, faktach historycznych i osobistych przeżyciach z czasów ostatniej wojny światowej. Jestem nadal mieszkanką Krzynek i pozostanę nią do końca swoich dni.

Krystyna Kłys

Konsultacja polonistyczna: Jolanta Blaźniak, Ewa Zadłużna. Wspomnienia spisał : Gerard Sopiński

Niepołcko (niem. nazwa Nepölzig)

Wieś ta położona jest nad rzeką Płonią (Plöne), której źródło znajduje się w Barlinecko- Krajobrazowym Parku Krajobrazowym. Nazwy zapisane: Nepolsk (1235 r.), Nepolskie (1236 r.), Nipoltzeke (1300 r.), Nypolczik (1337 r.). Miejscowość oddalona jest od stolicy gminy Barlinka (Berlinchen) o 7 km, zaś od Pełczyc (Terra Bernstein) o 10 km. Pierwsze zapisy o Niepołcku pochodzą z około roku 1235, należała ona do cystersów z Kołbacza. Już w roku 1236 mnisi przekazali miejscowość biskupowi kamieńskiemu w zamian za dziesięciny i sporną wieś położoną nad rzeką Płonią. Margrabiowie Brandenburscy w roku 1276 kupili posiadłość wraz z ziemią lipiańską i terenami wokół Barlinka od biskupa kamieńskiego. Oznaczało to prawdopodobnie odłączenie Niepołcka od ziemi pełczyckiej. Albrecht III Brandenburski (1250-1300) - margrabia, który wraz z braćmi Janem III, Ottonem V Długim, Ottonem VI Małym odziedziczyli część Brandenburgii po zmarłym ojcu Ottonie III Pobożnym na krótko przed śmiercią w dniu 2 czerwca 1300 roku ofiarował wieś cysterkom z Pełczyc. Niepołcko wraz z Terra Bernstain (ziemią pełczycką) zostało wymienione w rejestrze wsi sporządzonych do celów podatkowych na polecenie margrabiego Ludwika Starego w 1337 r.

W 1537 roku dobra poklasztorne przeszły spod kontroli władz kościelnych na rzecz władz państwowych ograniczając tym samym wpływ religii na życie społeczne. Przekazanie kontroli nazwano sekularyzacją lub kasatą. W tym też okresie dobra poklasztorne przekazano pod zarząd państwowy z miejscowościami: Żydowo, Równo, Niepołcko oraz ziemie w miejscowościach Płotno, Boguszyny i Chrapowo.

Lenno szlacheckie należało do rodziny von Billerbcków z Chrapowa i było znane dopiero w XVI wieku.

Dobra rycerskie w Niepołcku zostały przekazane wraz z młynem przez margrabiego staroście z Drezdenka von Tobelowi w dniu 27.11.1577r. Za panowania ostatniego właściciela rodziny von Tobiel miał nastąpić częściowy upadek wsi. Ziemia niszczona była przez częste powodzie, najgroźniejsze odnotowano w roku 1710. Kolejna powódź trwająca 14 dni miała miejsce w 1714 roku. W trakcie potopu zniszczeniu uległ most na rzece Płoni w wyniku zasypania go piachem spływającym z okolicznych wzgórz. Straty powstałe w Niepołcku miały duży wpływ na zbiór siana, a nawet jego brak, gdyż łąki były całkowicie zarośnięte. Gleby w okolicy zaliczano do średniej klasy, najgorsze znajdowały się w pobliżu wzgórz. Zboża jarego raczej nie siano z uwagi na niskie plony. Unikano siania żyta, gdyż zdarzało się, że zbierano go tyle ile siano. W wyniku klęsk mieszkańcy zubożeli, część z nich uciekła. Po śmierci ostatniego von Tobela posiadłość przejęli Waldowie. Znajdowało się tu 12 zagrodników, którzy posiadali niewielki przydział ziemi wystarczający im ledwie na przeżycie. Zobowiązani byli również do pańszczyzny. Aby przetrwać musieli najmować się do pracy u bogatszych właścicieli ziemskich. Z czasem zostali przeniesieni do Barlinka, dlatego też osada straciła możliwość pracy chłopów pańszczyźnianych. W 1718 roku w Niepołcku nie było już ani zagrodników ani chłopów. W celu ratowania miejscowości właściciel majątku zbudował 5 chat. Trzech gospodarzy otrzymało ziemię – morgi. Hodowali oni świnie, krowy, konie, posiadali pasieki z pszczołami.

W wyniku zapisku testamentowego wieś została przekazana najpierw Mathiasowi Friedrichowi von Waldow, a następnie jego synowi Joachimowi Friedrichowi von Waldow, który miał dwie córki, jedną z nich była Luisa Juliana. Obydwie siostry wyszły za mąż za mężczyzn z rodziny von Schack. Niestety, jedna z sióstr (nieustalonego imienia) zmarła w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach. Joachim Fredrich umarł w roku 1737, zapewne w wyniku żalu po przedwcześnie zmarłym dziecku oraz żonie, która dokonała żywota 6 tygodni wcześniej. Majątek, w tym dobra rycerskie w Niepołcku odziedziczyła Luisa Juliana von Schack oraz dzieci przedwcześnie zmarłej pani von Schack tj. Friedrich Chrystian i Friedrich Hans. Jednakże nie mogli oni prawdopodobnie przejąć automatycznie majątku, gdyż wówczas byli osobami nieletnimi. Reprezentował ich ojciec rotmistrz Otto Bogisław von Schack, który wraz z Louisą Julianną von Schack w październiku 1737 r. zwrócili się do Bernarda Jochema von Kuessowa, aby ten pomógł załatwić im sprawy z notariuszem Johannem Bothe. W pierwotnym założeniu postanowili, że nie będą dzielić majątku na części i przejdzie on w całości na jedno z nich. Pozostałe osoby miały otrzymać ekwiwalent pieniężny. Strony nie mogły jednak dość do porozumienia. Postanowiły zarządzić losowanie, które miało wyłonić jednego właściciela. Odbyło się ono w dniu 10.10.1737 r. Wcześniej pocięto kartkę na dwie części, na jednej napisano „dobra ziemskie", na drugiej „pieniądze". Kartki starannie włożono do kapelusza, przykryto ciemną chustką i solidnie zamieszano. Zaszczyt wyciągnięcia losów przypadł ośmioletniemu Michaelowi- synowi wasala Niepołcka Christiana Neumanna. Dziecko na chybił trafił wręczyło kartkę Pani von Schack i rotmistrzowi. Dobra przypadły rotmistrzowi. Na tym sprawa się nie zakończyła, ponieważ należało dokonać wyceny majątku. Sporządzono więc drugi dokument, w którym dokonano wyceny ziemi i sporządzono akt notarialny objęcia włości przez rotmistrza. Wyliczenia wartości ziemi dokonali dwaj mężczyźni, którzy urodzili się w Niepołcku i tamże się wychowali: Wilhelm Schmoldt- przez 10 lat był stajennym na niepołckich ziemiach i parobek- Christian Windelmayer. Wyceny mieli dokonać pod przysięgą, a złamanie jej miało skończyć się zapewne niechybną śmiercią. „Rzeczoznawcy" otrzymali bardzo dokładne informacje na temat stanu majątku ziemskiego. Ziemie niepołckie podzielono na trzy części: na Klein Latzkowche (Laskówek), Ruwensche(Równo), Berlinchensche Feld (część barlinecka). Swoją opinię sformułowali w następujący sposób: „Były to ziemie dobre, mało piaszczyste. Na tych ziemiach oprócz zbóż rosły również: groch, soczewica, fasola, gryka, proso, len i konopie".Przekazali informacje o ogrodzie, trzodzie chlewnej, stawach hodowlanych, gaju, w którym urządzano polowania na zwierzynę łowną. Opowiedzieli, że wieś słynęła przed laty z wielkiej produkcji dobrego miodu, której wartość sięgała nawet 1 tony rocznie. W chwili wyceny majątku pozostały jedynie 4 pasieki z pszczołami. Nadto na tych ziemiach zajmowano się uprawą chmielu, produktem dla lokalnego browaru. Pałac ryglowy został zbudowany z tzw. muru pruskiego. W 1737 r. miał dopiero 20-30 lat. Znajdował się w dobrym stanie. Właściciel sprawował władzę nad sądownictwem, był również opiekunem kościółka. Kaznodzieja oraz kościelny otrzymywali deputaty z dworu. Majątek posiadał również zarządcę, którego wyznaczał właściciel majątku. Wszystkie te elementy wchodziły w skład włości rycerskich

W roku 1754 dwaj bracia Schack, którzy byli już osobami pełnoletnimi otrzymali w spadku majątek w Jagowie. Friedrich Christian - w stopniu porucznika i otrzymał wsie: Kloxin (Kłodzino), Prillwitz (Przelewice), Landenbusch, Buttersee. Drugi z braci Hans Friedrich mając 25 lat zawarł związek małżeński z Tessiną Henriette von Dietherr z Chrapowa i otrzymał Niepołcko. Zobowiązał się również, że majątku nie odsprzeda obcym i podpisał umowę uniemożliwiającą jego sprzedaż z adnotacją, że może zostać jedynie przekazany bratu, albo jego potomkom .

W 1773 r. zmarł Otto Bogisław von Schack. Doczekał się stopnia majora oraz syna, wykładowcę

akademickiego. W dniu 31.01.1776 r. zapis o niemożliwości sprzedaży ziemi został uchylony przez prezydenta rejencji Bernharda Gottlieba von Eckenvorta, którego żona Kretschmern z Jagowa ostatecznie kupiła Niepołcko za 1600 reichstalerów i 100 dukatów. Fakt ten spowodował że król ostatecznie utracił prawo lenne nad Niepołckiem.

Następnymi właścicielem wsi byli: von Schoning w 1786 r., von Papstein przed rokiem 1801, von Mellenti w 1801 r., von Frankenberg w 1810, von Berg w 1850 r. von Gramme w roku 1909. Niepołcko zakupili von Kehlerowie, którzy wnieśli duży wkład w rozwój miejscowości remontując ryglowy pałac, kościół. Zbudowali spichlerz, wodociągi, willę Syla, dom zarządcy, przyczyniając się tym samym do odzyskania dawnej świetności Niepołcka. Ostatnim niemieckim właścicielem osady w roku 1928 został dr Tuckermann.

Wraz z wejściem żołnierzy radzieckich zakończył się niemiecki okres w dziejach Niepołcka. Zapewne w tym samym czasie co Żydowo (Siede) wieś została zdobyta przez 1 Front Białoruski i 2 Armię Pancerną gwardii gen. płk Stefana Bogdanowa.

Jednym z najcenniejszych zabytków wsi jest pałac ryglowy (tzw. mur pruski) zbudowany na początku XVIII wieku z wysokim mansardowym dachem, ze ściętymi narożnikami. W trakcie budowy puste przestrzenie pomiędzy belkami wypełniano plecionką z gałęzi i polepą z trzciny, gliny i wapna. Gorącym zwolennikiem stylu ryglowego był król pruski Fryderyk II Wielki, który zabronił budowy domów drewnianych z tzw. bali, dzięki czemu zużywano mniej drewna niezbędnego było do budowy floty wojennej. Pałac przez wiele lat był niszczony, okradany ze wszystkiego co stanowiło jakąś wartość. Służył za skład opału, spichlerz na zboże, park maszynowy, miejsce hodowli kur i kaczek. Znajdujące się wkoło zabudowania murowane budynki, w których znajdowały się zwierzęta z biegiem czasu rozebrano wraz z kamiennym murem. W stodole wybudowanej w XIX wieku zniszczeniu uległ dach przez lata nieremontowany. Przy pałacu ryglowym znajdował się park położony na bagnistym terenie, na którym rosły dwa olbrzymie platany oznaczone tabliczkami - pomnik przyrody. W bezpośredniej bliskości tychże drzew znajdował się okrągły postument na fontannę, którą wandale przewrócili uszkadzając ją. Obecnie znajduje się ona w Izbie Historycznej w Pełczycach. Fontanna po remoncie pałacu ryglowego wróci być może na swoje prawowite miejsce (po dokonaniu konserwacji). W trakcie ostatniej wojny w parku stało niemieckie działko przeciwlotnicze, które ostrzeliwało nadlatujące samoloty radzieckie.

Nieopodal dworu znajdują się ruiny kościółka wybudowanego w XVI lub XVII wieku. Przypominał kształtem szopkę lub małą stodołę. Miał dwuspadowy dach z nieznacznie wysuniętymi okapami. Zbudowany na fundamencie z polnego kamienia z tzw. muru pruskiego obrys zbliżony był do prostokąta o wymiarach 12x7 m. Wejście znajdowało się w dłuższej ścianie, dach pokryty był dachówką wykonaną ręcznie (po dzisiejszy dzień wprawne oko zauważy na pozostałościach dachówek odciśnięte palce).

(kościół z dzwonnicą , 1951 r.)

Wewnątrz kościółka umieszczono barokową ambonę stojącą na posadzce służącą do czytania tekstów liturgicznych i głoszenia kazań. Była bogato zdobiona w motywy roślinne, rzeźbione w płaskorzeźbie, po bokach z aniołkami. Loża kolatorska, drewniana z płaskorzeźbami, w stylu barkowym przeznaczona była dla właścicieli wsi i znamienitych gości. Kościółek posiadał emporę muzyczną, drewnianą, wsparta na trzech filarach, ławki dla mieszkańców Niepołcka, drewnianego anioła zawieszonego pod stropem z konchą w dłoni. Obok kościoła stała drewniana dzwonnica z XIX w. wykonana z drewnianych słupów. Posiadała dach dwuspadowy, pokryty dachówką oraz dzwony spiżowe odlane przez firmę C. Voss ze Szczecina w 1859 roku, które przeznaczone zostały w 1917 r. w czasie I Wojny Światowej na cele wojenne. Kościołek przetrwał zawieruchę ostatniej wojny. W 1951 roku znajdował się w dobrym stanie wraz z wyposażeniem, choć nie posiadał już okien. Ostatecznie uległ ruinie w latach 90-tych. Obecnie zostały jedynie gruzy i fundamenty oraz zasypane wejście do krypty grobowej. Staraniem proboszcza parafii w Pełczycach ks. Henryka Raźniewskiego oraz miłośników historii ziemi pełczyckiej usunięto krzewy rosnące na terenie kościołka, które niszczyły pozostałości kamiennych fundamentów.

Wieś podlegała pod ewangelicką parafię w Chrapowie (Hohengrape). Mszę odprawiał pastor Kurt Hartke, który w dniu 28.08.1939 roku został powołany do Wehrmachtu jako szeregowiec.

W czasie II Wojny Światowej walczył w Polsce, Francji i na froncie wschodnim. Został awansowany do stopnia podporucznika w 1944 r. Po kapitulacji hitlerowskich Niemiec więziony przez Rosjan w obozie na Helu, został zwolniony z niewoli w roku 1948. Pod nieobecność pastora mszę w kościółku odprawiał pastor z Płonna (Klausdorf) Rohde. Eucharystię celebrował również pastor Max Urban, który w dniu 29 .03.1904 roku został wyświęcony na duchownego w kościele Krzyża w Poznaniu. W 1907 roku został przeniesiony do Barlinka z parafii Retschin, a w 1917 roku do Pełczyc. W dniu 02.05.1946 roku opuścił Pełczyce po przekazaniu Ziem Odzyskanych na konferencji poczdamskiej. Zmarł w dniu 22 .08.1962 r . w wieku 87 lat i został pochowany w Grossenketten/Oldenburg. Ostatecznie wieś w 1951 roku weszła w skład parafii pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Pełczycach.

(Pastor Kurt Hartke przed kościołem w Niepołcku)

Przy kościele mieszkańcy wsi dla upamiętnienia swoich bliskich, którzy zginęli w czasie I Wojny Światowej ufundowali pomnik, wykonany z kamienia ustawionego na cokole. Na kamieniu wyryto napis „Den Gefallenen aus den Jahren 1914-1918 zum Gedachtnis „ (pamięci poległym w latach 1914-1918) oraz umieszczono imionia i nazwiska żołnierzy poległych: Johannes von Kehler, Max Zemke, Otto Schalz, Hermann ? (nazwisko nieczytelne), Wilhelm Jakobi, Fritz Jakobi, Hermann Hannemann.

Za wsią koło drogi brukowej prowadzącej do miejscowości Laskówek znajduje się aleja drzew prowadząca do ruin willi Syla, wybudowanej przez rodzinę von Kehlerów. Budynek stał przy najwyższym wniesieniu gminy Barlinek Lisiej Góry (Fuchs Berg, 116 metrów nad poziomem morza). To piękne miejsce nie zostało przypadkowo wybrane na budowlę. Po przepięknej willi pozostały jedynie betonowe fundamenty, które zarosły krzewami. Na terenie znajdował się ogród, w którym posadzone były drzewa owocowe (obecnie stoi tylko czereśnia) oraz żywotniki. Lisia Góra skrywa grobowiec rodziny von Khelerów z kamiennymi tablicami, w których uwieczniono nazwiska zmarłych. Na tablicach znajdują się napisy: Marie von Kehler Geboren 11 Februar 1861 Gestorbern -zmarła 15 April 1921 in Niepolzig, Johannes von Kehler Geboren 21 Januar 1869 Geffalen- poległ In Der Champagne (Szampanii – Francja 16 Oktaber 1915, Wolfgang von Kehler Geb. 11 Dez. 1908 Gest 22 April 1909 r, Beate Zinck Geb. Von Kehler- brak daty urodzin i zgonu Beaty Zinck oznacza zapewne, że nie została nigdy pochowana w rodzinnym grobowcu . Cdn

Gerard Sopiński

Konsultacja polonistyczna: Ewa Zadłużna, Jolanta Blaźniak, tłumaczenie z języka niemieckiego, Szymon Cheba.

Źródła:

- Grzegorz Jacek Brzustowicz , Z dziejów ziemi pełczyckiej ,2004 r, str. 25, 31-35, 104-105
- Edward Rymar, Zeszyty Pyrzyckie, Burzliwe dzieje ziemi pełczyckiej ,1974 r, str. 157-158
- Jan Bogutyn, Józef Bohatkiewicz, Szlak walk i męczeństwa Pomorza zachodniego , 1985 r str. 43,70.
- Bogdan Kucharski, Między Odrą a Drawą, 1988 r, str. 111-112
- Czesław Piskorski , Województwo szczecińskie – przewodnik, 1966 r, str. 221-222
- Czesław Piskorski, Pojezierze myśliborskie, 1979 r, str. 119
- Tadeusz Białecki, Słownik nazw fizjograficznych Pomorza zachodniego, 2001 r.
- Praca zbiorowa pod redakcją Tadeusza Białeckiego, Słownik współczesnych nazw Geograficznych Pomorza zachodniego z nazwami przejściowymi z lat 1945-1948 .
- Heimatblatt nr 194, 1998 r, str. 16
- Heimatblatt nr 231 , 2008 r, str. 16-17
- Heimatblatt nr 209, 2002 r, str. 20

http://www.westernpomerania.com.pl/admin/pliki/1350_Niepolcko%20lista%20poleglych.pdf
http://architektura.pomorze.pl/?art_id=611
http://autorskapracownia.com/architektura-ryglowa-mur-pruski/
http://pl.wikipedia.org/wiki/W%C5%82adcy_Brandenburgii

Okoliczność śmierci milicjanta Leona Tylkowskiego.

W piękny słoneczny dzień 28 sierpnia 1946 roku z częściowo zniszczonego działaniami wojennymi Barlinka wyjechał samochód ciężarowy, który miał dojechać do oddalonego o 10 kilometrów miasta Bursztynowa (Pełczyce). Na pace pojazdu znajdowała się grupa podróżnych chcąca dotrzeć do miasteczka. Jednym z pasażerów był urodzony w Poznaniu w dniu 05 kwietnia 1925 roku kawaler, milicjant Leon Tylkowski. Przyjechał na Ziemie Odzyskane w poszukiwaniu raju – krainy szczęścia i poprawy swojej sytuacji bytowej. Ciężarówka wyruszył o godz. 10.00 brukowaną drogą położoną pomiędzy aleją drzew mających uchronić podróżnych przed palącym latem słońcem. Po lewej stronie drogi znajdowały się tory kolejowe wybudowane w 1898 roku łączące trasy Barlinek (Berlinchen) – Pełczyce (Bernstein) – Choszczno (Arnswalde). Kierowca znał dobrze trasę, którą często przemierzał, rozpędzał przed górką wóz, redukował biegi a następnie zbliżał się powoli do skrzyżowania. Na samym wzniesieniu z drogi podporządkowanej do miejscowości Płonno wyjechał pojazd ciężarowy kierowany przez nietrzeźwych żołnierzy radzieckich. Kierujący próbowali wykonywać manewry, które mogły doprowadzić do uniknięcia katastrofy, jednak odległość była zbyt bliska. Rozpędzone auto z Płonna z całym impetem uderzyło w bok samochodu jadącego do bursztynowego miasteczka – krainy siedmiu jezior. Zderzenie było tak silne, że przewróciło ciężarówkę na bok . Ze skrzynki jak z procy do rowu wyleciała pasażerka Maria Bielicka, która doznała złamania obojczyka. Mniej szczęścia miał Leon Tylkowski, zginął na miejscu. Żal po śmierci zmarłego ogarnął jego rodziców Czesław i Leokadia zd. Blaszków.

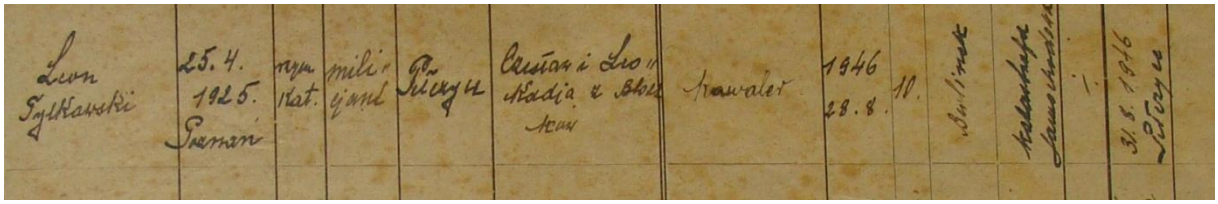
Leon Tylkowski | 25.4. 1925. Poznań | rzym. kat. | milicjant | Pełczyce | Czesław i Leokadia z Blaszków | kawaler | 1946 28.8. | 10. | 31.8.1946 Pełczyce

(Wpis w księdze zmarłych)

W dniu 31 sierpnia 1946 roku Leon Tylkowski wyznania rzymsko katolickiego został pochowany z honorami na cmentarzu parafialnym w Pełczycach. Ostatniego sakramentu udzielił pierwszy polski ksiądz katolicki Franciszek Łojek, który przybył do Pełczyc w dniu 17 czerwca 1946 r. Był to trzeci pogrzeb księdza w nowej parafii.

(Janina Miętkiewicz w trakcie porządkowania mogiły.)

Mieszkańcy miasteczka pamiętali o jednym z pierwszych funkcjonariuszy milicji na terenie powiatu myśliborskiego, na mogile zawsze znajdowały się świeże kwiaty i znicze. Z czasem władze miasta ufundowały pomnik. W rocznicę powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 22 lipca delegacje szkół, naczelnik miasta, sekretarz PZPR, członkowie ZBOWiD, komendant Milicji Obywatelskiej w towarzystwie pocztów sztandarowych składali uroczyście kwiaty, śpiewali pieśni patriotyczne. Mogiłą od zawsze opiekowali się milicjanci, a później policjanci z Posterunku Policji w Pełczycach pamiętając o Leonie w dniu święta zmarłych. O mogiłę dbała również Janina Miętkiewicz - żona ówczesnego komendanta Posterunku MO Józefa Miętkiewicza, a po jej śmierci Genowefa Koperek.

Z czasem warunki atmosferyczne zatarły litery na pomniku czyniąc grób bezimiennym. Dlatego też

funkcjonariusze z Posterunku Policji w Pełczycach ufundowali marmurową tablicę, aby pamięć po tragicznie zmarłym milicjancie przetrwała. Tablicę wykonał i zamontował Kazimierz Dziuba z Bolewic.

Gerard Sopiński

Wspomnienia Janiny Mukoid z domu Kozioł

W dniu 10 lutego 1940 roku rano obudziło nas pukanie do drzwi (pomyślałam, czyżby ukraińska koleżanka Emilia Łucka, która twierdziła, że wszystkich Polaków wywiozą na Sybir mówiła prawdę? Nie, to niemożliwe!). Nigdy nie sądziłam, że będzie to najstraszniejszy dzień w moim życiu. Przeżycia z tego dnia tak głęboko utkwiły mi w pamięci, że za żadne skarby nie wróciłabym do swojej rodzinnej miejscowości Wierzchowice, w pow. kopiczyńskim, w woj. tarnopolskicm, w której przyszłam na świat w 1925 roku. Ojciec Józef zdziwionym głosem krzyknął :

- Kto tam ? Męski głos odpowiedział:

-To ja- kierownik Szkoły Powszechnej Kutny, jestem z żołnierzem NKWD, przyszliśmy odczytać Wam rozkaz, proszę natychmiast otworzyć!

Wówczas nie przypuszczaliśmy, że po raz ostatni otworzyły się drzwi w naszym rodzinnym domu, który stał na kolonii. Przed mieszkaniem był kierownik szkoły, żołnierz NKWD i Ukrainiec, który kulał na jedną nogę. Ukrainiec pochodził najprawdopodobniej z Peremiłowa. Po odczytaniu rozkazu poinformowano nas, że mamy się natychmiast pakować, bo będziemy deportowani. Tata stanął stanowczo w drzwiach z rozłożonymi rękoma broniąc jak lew swojej rodziny i krzyczał:

- Po moim trupie a i tak nie wpuszczę !

- Panie Kozioł, niech Pan da spokój, to nic nie da, dzisiaj wywożą was, jutro może nas, zrobią co będą chcieli, szkoda czasu, proszę się pakować- powiedział nauczyciel.

- Ale co mamy zabrać ze sobą? -krzyczała zatrwożona mama Rozalia z domu Stadnik.

- Bierzcie jedzenie, ciepłe ubrania, pokażę wam co jeszcze będzie niezbędne! -powiedział nagle Rosjanin.

Pobiegł do szopy i ku naszemu zdziwieniu zaczął łamać trzonki w szpadlu, siekierze i widłach. Złapał za sierp i wszystko wrzucił do worka informując nas, że to nam się na pewno przyda. Wszyscy wsiedliśmy na sanie, tzn. ja, rodzice oraz rodzeństwo: Michał, Julia, Franciszek i Cecylia. Byliśmy wystraszeni, ponieważ na zawsze opuszczaliśmy dom i 8 - hektarowe gospodarstwo. Wywożono nas saniami w nieznane, a mróz był siarczysty - minus 33 stopnie Celsjusza i straszna zamieć śnieżna. Przyjechaliśmy do Chorostkowa, na stację kolejową oddaloną od Wierzchowców o 7 kilometrów. Tam czekały na nas bydlęce wagony. Żołnierze radzieccy stali po pas w śniegu z karabinami przygotowanymi do strzału. Twarze mieli zsiniałe od mrozu, a pomimo tego, czujnie nas obserwowali. Załadowali nas po 33 osoby do wagonu. Wnętrze było obskurne, wyposażone w piętrowe łóżka, piecyk i otwór w podłodze, który służył za toaletę. W takich warunkach mieliśmy załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne. Następnie na stację przywieźli z naszej kolonii rodziny: Stadników, Perłowskich, Dudzików, Mikulskich. Wszystkich jednak nie wywieźli, zostały jeszcze rodziny: Kassa, Grypów, Korczaków, Przygodów i Bernatów. Mieli szczęście, jak wówczas mniemałam. Niestety władza sowiecka zajęła się nimi w czerwcu 1940 r. Zesłano ich na Sybir. Modliliśmy się wszyscy, żeby skończył się jak najszybciej ten koszmar. Tłumaczyłam sobie- to tylko zły sen na jawie, zaraz się obudzę i będę leżała w swoim łóżku. Sen jednak nie mijał, to była prawda. Dlaczego nas tak traktowali jak zwierzęta? Za to, że byliśmy Polakami? Wtedy myślałam o czymś innym. Przypomniałam sobie Szkołę Powszechną, do której uczęszczałam w Wierzchowcach. Był to stary budynek, lepianka z dwiema klasami lekcyjnymi. Kierownikiem szkoły był pan Kutny, nauczycielkami dwie panie, w tym żona kierownika. W izbach jednocześnie uczyły się dwie klasy, ponieważ brakowało miejsca. Klasy młodsze uczono z rana, po południu szkoliły się starsze dzieci. Do szkoły uczęszczałam z Bronisławą Korczak, Janem Przygodą, Bernard Józefą, Rosinek Kazimierą, Niemczyk Janiną i Ukrainka Anastazją Szaweł. Ukraińskie dzieci nie były do nas wrogo nastawione, wręcz przeciwnie, bawiliśmy się razem, choć zdarzały się między chłopcami utarczki. Nikt jednak krzywdy sąsiadowi nie robił. Koleżanka Anastazja Szaweł pracowała u nas, a tatuś płacił jej pieniądze. Szczególnie utkwił mi w pamięci jeden incydent, kiedy Anastazja przyszła do nas rozżalona płacząc:

- Wiesz co, Janinko, dałam pieniądze macosze, aby kupiła mi sukienkę. Ona kupiła sukienkę sobie, a mi uszyła ze starych łachmanów.

Uspokoiwszy Ukrainkę o zajściu poinformowałam ojca, który był człowiekiem wrażliwym na niesprawiedliwość i krzywdę ludzką. Sam był sierotą i wychowywał go ojczym. Odtąd kupował ubrania nam i Anastazji

Na wycieczki szkolne jeździliśmy do Kręciłowa nad rzekę Zbrucz, gdzie znajdowała się granica II Rzeczypospolitej i Związku Radzieckiego. Wiosną roku 1937 poziom rzeki był tak niski, że o mało co nie

znaleźliśmy się po stronie sowieckiej. Na szczęście nauczyciel w porę zorientował się i wszystkich nas zawrócił. Z pewnością, by nas aresztowano oskarżając o szpiegostwo na rzecz burżuazyjnej Polski.

W wiosce znajdowały się również dwa sklepy „Kooperatywa" i „Kółka Rolnicze" , dobrze zaopatrzone oraz karczma należąca do niejakiego Bucholza - obywatela pochodzenia żydowskiego. Często odwiedzali ją miejscowi mężczyźni.

Rolnicy pracowali również w Chrostkowie w majątku hrabiego Siemińskiego za tzw. 8 snop, czyli ósmy snopek należał do pracującego. Wszyscy go chwalili, mówiono, że to bardzo dobry i sprawiedliwy człowiek. Niestety, wraz z wybuchem wojny we wrześniu 1939 r. hrabia zniknął z Chrostkowa, a pałac, w którym mieszkał opustoszał. Wtedy uprzytomniłam sobie, że nasi ukraińscy sąsiedzi z dnia na dzień stali się naszymi wrogami. Okradali nam gospodarstwa, dokuczali i wyśmiewali. Sołtys Wierzchowski odbył rozmowę z ukraińskim, ale na wiele to się nie zdało. W trakcie spotkania jeden z gospodarzy przemówił :
- Zabierajmy swoje rodziny, pakujmy się i uciekajmy, oni nie dadzą nam spokoju, póki my tu jesteśmy!
- Tak, ale dokąd uciekniemy? Jest teraz ciepło, a zimą co zrobimy ? -odparł drugi mieszkaniec.
Zdecydowali, że należy poinformować o wszystkim rosyjskiego oficera w Chorostkowie, który zakomunikował, że wieczorem rozwiąże problem. Na zebraniu stanął w rozkroku i podniesionym głosem wygłosił mowę:
- Kto tu u was żyje? Polacy i Ukraińcy ? Nie ma prawa jeden drugiemu robić krzywdy, bo inaczej sąd polowy! To jest wojna!
W dniu 7 lutego 1940 roku niespodziewanie u nas w mieszkaniu pojawiła się Anastazja Szaweł informując, że w sobotę mają Polaków gdzieś wysiedlić. Niestety przestróg Anastazji nie wzięliśmy na poważnie, inaczej przygotowania do podróży wyglądałyby inaczej.

Pociąg na wschód ruszył w niedzielę rano. Otrzymaliśmy do każdego wagonu po wiaderku węgla. Musiało nam ono wystarczyć do ogrzania na cały dzień przy trzaskającym mrozie. Jedliśmy to co mieliśmy, co nam się udało zabrać z domu. Dokuczał nam głód i pragnienie. Jedzenie otrzymywaliśmy na postojach: ciepłą wodę i zupę z brukwi. Pociąg nie zatrzymywał się jednak codziennie. Po 3 tygodniach niekończącej się podróży dotarliśmy do miejsca przeznaczenia, osiedlili nas w tajdzew Ałtajskij Kraj, Ozero Perowskoje, barak 108, tak jak innych zesłańców. Starszym baraku został gajowy Lwow - Rosjanin, którego po wojnie polsko bolszewickiej nie wpuszczono do ojczystego kraju. Znał biegle język rosyjski i polski, był naszym tłumaczem, dzielił z nami niedolę, choć sowieci chcieli go odwieźć do rodzinnej miejscowości.

Pracę rozpoczęliśmy następnego dnia w Tajdze, śnieg był po pas, przeraźliwy mróz. Tata z bratem Michałem pracowali w tych okropnych warunkach, a z nas- młodszych utworzono grupy młodzieżowe i zagoniono do harówki. Układaliśmy drewno, paliliśmy gałęzie, kobiety odcinały je od pni i obdzierały drewno z kory. Wykonywane czynności były ponad nasze siły, ale chcieliśmy wszyscy przeżyć. Najważniejsze jednak, że byliśmy razem i mieszkaliśmy w baraku wśród swoich. Panował głód, nie zawsze mieliśmy co jeść. Rodzice ograniczali się jak mogli, żebyśmy my nie byli głodni. Przeważnie jedliśmy chleb, zupy z warzyw, mięsa nie widzieliśmy, to był rarytas. Panujący mróz ponad minus 40 stopni Celsjusza zabierał nam cenne kalorie i witaminy. Po przejściu kilku kilometrów w zaspach nie mieliśmy często siły na powrót, a do tego jeszcze dochodziły zamiecie śnieżne i burze, które utrudniały pracę i ograniczały widoczność do minimum. Modliliśmy się do Pana Boga, aby dał nam siłę przetrwania w tych okropnych warunkach, myśleliśmy tylko o tym, żeby najeść się wreszcie do syta. Lżej było latem, wszędzie rosły grzyby i jagody, piliśmy wodę brzozową, która dawała nam siły, uczyliśmy się sztuki przetrwania. Magazynowaliśmy również jedzenie, żeby przetrwać następną zimę, która w tajdze przychodziła bardzo szybko i trwała bardzo długo.

Ojciec nagle zachorował w kwietniu 1941 roku. Po prostu przyszedł do pracy, położył się do łóżka i już nie wstał. W nocy pojawił się lekarz, który rozłożył ręce, że nic tu po nim, albowiem nie ma żadnych lekarstw. Nagle ojca zakuło w klatce piersiowej i umarł. Zgon nastąpił w dniu 21.04.1941 r. w obcej i nieprzyjaznej dla nas krainie. Wpływ na śmierć papy miała ciężka praca, mróz, niedożywienie, wszystko to spowodowało skrajne wyczerpanie organizmu. Byłam u komendanta rosyjskiego, który zapytał:
-Ile u was jest dzieci ?
- Pięcioro i mama- odpowiedziałam.
Widać było po nim, że szczerze nam współczuł, dał nawet kwit na drewno, z którego wykonano trumnę. Ojciec został pochowany , głową rodziny został najstarszy brat -Michał.

(w górnym rzędzie , pierwsza z lewej Jania Mukoid , Kazachstan 1945 r.)

W dniu 30 lipca 1941 roku Rząd Rzeczypospolitej Polski na Uchodźstwie, tzw. londyński podpisał umowę z ZSSR zwaną paktem Sikorski- Majski. W porozumieniu rząd ZSSR, na którego czele stał Stalin zagwarantował amnestię dla obywateli polskich, więźniów politycznych i zesłańców. Byliśmy szczęśliwi z tego powodu, myśląc mylnie, że jesteśmy wolni. Była to tylko pozorna wolność, bo bez pisma od NKWD nie mogliśmy nigdzie wyjechać, a ci niechętnie chcieli pozbyć się taniej siły roboczej. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później Rosjanie będą musieli nas wypuścić. Z tęsknotą czekaliśmy na ten moment, będąc jednocześnie pełni obaw czy Rosjanie dotrzymają umowy. Zdobywając już pewne doświadczenie magazynowaliśmy żywność, gdyż droga przed nami była daleka. Zbieraliśmy i suszyliśmy grzyby, owoce jarzębiny, jagody. Wreszcie zapakowano nas w bydlęce wagony i wyruszyliśmy w nieznane. Wiedzieliśmy, że nie pojedziemy do Polski, ponieważ kraj nasz okupowany był przez Niemców. Po kilku tygodniach wyczerpującej podróży dotarliśmy do miejscowości Buchary w Uzbekistanie. W przeszłości Buchary były ważną miejscowością na jedwabnym szlaku i świętym miastem muzułmanów, do którego wstęp niewiernym był zabroniony pod groźbą śmierci. Niestety pozostawiono nas pod gołym niebem praktycznie bez żadnej pomocy, musieliśmy radzić sobie sami. Wtedy właśnie przydały nam się zapasy zebrane w syberyjskiej tajdze. Głodowaliśmy, oczekując jednocześnie rozwiązania naszego problemu. Na szczęście było lato, więc nie marzliśmy tak jak na Syberii.

Ponownie wsiedliśmy do wagonów i wyruszyliśmy po raz kolejny w wyczerpującą podróż do Kazachstanu obłast Dżambuł, gdzie trafiliśmy do kołchozu. Nieszczęśliwie okazało się ,że kraj ten nie jest dla nas przyjazny- suchy klimat z niewielkimi opadami deszczu. Kazachowie przyjęli nas serdecznie, nakarmili i przekazali nam lepiankę - dom wykonany z gliny bez okien. Na tym ich serdeczność się skończyła. Pracowaliśmy w kołchozie przy sianiu i zborze bawełny. Starszy brat Michał zatrudniony był w melioracji - nawadniał pola uprawne. Z biegiem czasu stwierdziliśmy, że nie było niczym mądrym wyjeżdżać do Kazachstanu - kraju równie nieprzyjaznego dla nas Polaków jak Syberia (w tajdze było nam jednak lepiej).W Dżambułu brak było drewna, a opał stanowiły suszone zwierzęce odchody oraz roślina stepowa zwaną dżusanem. Jedzenia mieliśmy niewiele, w kołchozie Kazachowie niechętnie płacili nam za pracę myśląc, że mamy ją wykonywać za darmo. Nieraz udało nam się zdobyć trochę zboża. Aby przeżyć musieliśmy kraść. Przenikliwy głód zmuszał nas do robienia rzeczy, o których w normalnych warunkach bytowych nawet byśmy nie pomyśleli.

W 1942 roku wszyscy mężczyźni zgłosili się do komisji w Dżambułu, która orzekała zdolność do służby wojskowej w tworzącej się armii generała Władysława Andersa. Na komisję zgłosił się również mój Michał. Po kilku dniach wrócił przyprowadzając chorego Jana Kozieła, mówiąc:

- Musieliśmy przejść 14 -dniową kwarantannę, każdej nocy ktoś umierał, ostatniej odeszło 14 naszych chłopków!

Po kilku dniach zachorował na płuca , gdyż był skrajnie niedożywiony i wyczerpany ciężką pracą . Lekarza nie było, z pomocą przyszła Jakiełowa, która przez 9 dni stawiała Michałowi bańki. Brat jednak uparł się, że musi wrócić na komisję. Nie dał się przekonać, że jest ciężko chory. Uważał, że to jego obowiązek wobec ojczyzny.

Po kilku dniach zauważyłam dwóch mężczyzn wracających z komisji i spytałam :
- Panowie, a gdzie jest mój brat Michał ?!
- Został z tyłu ! - odparł jeden z nich.
Byłam na nich zła, że zostawili brata na pastwę losu. Był od nich młodszy. Oni służyli wcześniej w Wojsku Polskim, więc jako żołnierze nie powinni zostawiać rodaka .
Michał przyszedł wieczorem wyczerpany, miał gorączkę, chciał się położyć w stogu i spać, ale bał się dzikich zwierząt. Leżał w łóżku z wysoką temperaturą, często majaczył . W międzyczasie zmarł Janek Kozieł.
Kiedyś Michał powiedział do mnie:
- Wiesz co, Janek woła mnie do siebie, będziemy razem, będzie nam w niebie dobrze.
Brat odszedł od nas tak samo, jak tata, na obcej ziemi, straciłam drugą tak bliską mi osobę Musieliśmy go pochować, nie było desek na trumnę. Zawinęliśmy go w poszewkę od kołdry i pogrzebaliśmy na stepie. Zbieraliśmy kamienie, które kładliśmy na mogiłę żeby zwierzęta nie wykopały zwłok .

W maju 1946 ponownie bydlęcymi wagonami wracaliśmy do ojczyzny. Nie pozwolono nam powrócić do rodzinnych miejscowości, ponieważ nasze ziemie na podstawie porozumienia „Wielkiej Trójki" zostały przekazane Stalinowi, który w dniu 17 września 1939 roku dokonał ataku agresji na Polskę. W zamian otrzymaliśmy tzw. Ziemie Odzyskane. Obywatele Niemiec zostali wysiedleni a my mieliśmy tu zamieszkać. Jechaliśmy przez kraj zniszczony wojną - przez Oświęcim na Dolny Śląsk, tam okazało się, że nie ma dla nas miejsca, następnie przez Wrocław, Poznań, Stargard Szczeciński i Myślibórz do zniszczonego działaniami wojennymi Choszczna. Kres naszej podróży nastąpił 15.06.1946 r w miejscowości Bernestein (Pełczyce), gdzie wreszcie znaleziono dla nas zakwaterowanie. Wielu z nas - zesłańców z Syberii, wysiedlonych z kresów wschodnich trafiło do miasteczka Bursztynowo. Zmuszono nas do oddawania hołdu towarzyszowi Stalinowi, przez którego tyle wycierpieliśmy, żyjąc w skrajnej nędzy, umierając z głodu, wycieńczenia i chorób (zapalenie płuc, malaria, tyfus, szkorbut, dur brzuszny, zawał serca) Pozostawiliśmy mogiły naszych zmarłych na Syberii, Kazachstanie, Iranie, Palestynie, Uzbekistanie, Kirgizji i Komi, których już nigdy nie mieliśmy zobaczyć. W dniu 1 maja w Święto Pracy w oknach wystawialiśmy „świętych"- portrety Stalina i Bieruta przyozdobione gałązkami brzozy. Władza na następny dzień pilnowała, żeby wszystko skrzętnie zostało usunięte, bowiem zbliżał się dzień Konstytucji 3 Maja.

Janina Mukoid

Konsultacja polonistyczna : Ewa Zadłużna i Jolanta Blaźniak .
Wspomnienia spisał Gerard Sopiński .

Protokół Bernarda Kowalskiego

Akt dotyczący Niemki Matzdorf Marty zamieszkałej w Bernstein przy ul. Jeziornej 121 byłej właścicielki gospodarstwa rolnego obwinionej o wrogie nastawienie w stosunku do pracującego elementu polskiego u niej w czasie wojny.

Stwierdzam w dniu dzisiejszym, iż Niemka Matzdorf Marta urodzona 12.09.09 była właścicielką gospodarstwa rolnego o powierzchni 23 hektary położonego przy ul. Jeziornej 121. W czasie wojny w latach 1943-44 w stosunku do pracujących u niej pracowników rolnych - Polaków zajmowała wrogie i krzywdzące dla nich stanowisko.

Zatrudniony u niej pracownik rolny Kraska Kazimierz ur. 24.02.06 był jako robotnik fizyczny niedostatecznie akceptowany, a biorąc pod uwagę jego ciężką 14 -godzinną pracę dzienną źle odżywiony. Posiłki przyrządzane były tylko dla niego w prymitywnej postaci, jak kartofle w mundurkach, natomiast rodzina Motdorf ich nigdy nie jadała. Chleb podawano w niedostatecznej ilości, a artykuły, które przysługiwały według niemieckich norm pobierane na kartki nie zgadzały się często z przypisaną w teorii ilością. Z tego też powodu upominał się obywatel Kraska o poprawę warunków bytu u swojego pracodawcy, lecz interwencje te nie odnosiły żadnego skutku. Jako kolega obywatela Kraski na jego usilne prośby wstawienia się za nim u Matzdorfów o poprawę bytu uczyniłem to wzruszony jego złym stanem zdrowia i marnym wyglądem zewnętrznym. W formie prośby zwróciłem się do jego pracodawcy o zapewnienie mu korzystniejszych warunków, nie odnosząc jednak pozytywnego skutku. Z biegiem czasu obywatel Kraska zmienił miejsce pracy i na jego wakat zatrudniono niejakiego obywatela Antona, którego nazwiska dzisiaj nie pamiętam, również Polaka.

Obywatel Anton musiał funkcjonować w tych samych warunkach co jego poprzednik. Często upominał się o swoją skromną należność i zamiast polepszać swoją sytuację budował wokół siebie coraz większą nienawiść i wrogość. W wyniku dalszych wypadków za sprawą Niemki Matdorf Marty obywatelem Antonem zainteresowała się niemiecka tajna policja- Gestapo. Jego los i bieg dalszych wydarzeń od tej chwili nie jest

mi znany. Do dnia dzisiejszego nie mam o nim żadnej pozytywnej wiadomości lub jakiegokolwiek innego znaku. Powyższe stwierdzam własnoręcznym podpisem

Bernstein, dn. 20 sierpnia 1945 r.

Źródło :
Archiwum Państwowe w Szczecinie : teczka nr 38 str.9 „Zniszczenia Wojenne 1945 „

SZEF SZTABU GENERALNEGO WOJSKA POLSKIEGO

Gminy Pełczyce i Drawno nie mają takiego szczęścia do generałów jak Choszczno co w przypadku tego miasta jest zrozumiałe gdyż stacjonowała tam prawdziwa generalska kuźnia czyli 2 Brygada Rakiet. Ostatnio miało miejsce mało zauważone w Powiecie Choszczeńskim wydarzenie. Otóż 7 maja 2013 na stanowisko Szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego Pan Prezydent RP Bronisław Komorowski wyznaczył na pierwszego żołnierza Rzeczypospolitej gen. Mieczysława Gocuła jednocześnie awansując Go do stopnia generała broni WP. Nowy Szef Sztabu Generalnego urodził się 21 maja 1963 w Choszcznie, o czym Kawaliera wspominała w 2007 ,gratulując wówczas awansu generalskiego. Gen. Gocuł lata chłopięce spędził w m. Wysokie gm. Choszczno gdzie mieszkał, jest absolwentem Szkoły Podstawowej w Zamęcinie (1978) i technikum mechanicznego w Barlinku. Po maturze studiował w nieistniejącej dziś Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego w Poznaniu. Karierę żołnierza zawodowego rozpoczął i wiele lat kontynuował w 12 Dywizji Zmechanizowanej im. Czwartaków AL.(po 1989 straciła swego patrona) był m.in. dowódcą plutonu czołgów w nieistniejącym 9. pułku zmechanizowanym, potem dowodził szkolnym plutonem czołgów, następnie był dowódcą także szkolnej kompanii czołgów. W latach 1994 -1996 studiował w AON . W 1996 został dowódcą batalionu czołgów w 12. Brygadzie Zmechanizowanej 12 DZ, a następnie był na tym samym stanowisku w 6. Brygadzie Kawalerii Pancernej 12DZ w Stargardzie Szcz. Potem były studia zagraniczne, awans generalski w 2007 r. po którym następowały kolejne wyższe stopnie generalskie i wyższe stanowiska. Nowemu Szefowi Sztabu Generalnego życzymy wielu satysfakcji i osiągnięć dla dobra Polski.

Redakcja KAWALIERY

ODNOWIONA MOGIŁA

Udało się !!! Mogiła Janka Kosyniera Gdyńskiego została odnowiona . Przy duchowym wsparciu ks. prob. Henryka Raźniewskiego i dzięki p. Henrykowi Dziuba z Bolewic, oraz przy społecznym poparciu Osób , którym sprawy narodowej pamięci są szczególnie bliskie, grób Polskiego Żołnierza Obrońcy Ojczyzny znów przypomina o naszej tragicznej a zarazem heroicznej historii. Pozwala zadumać się nad losem często dziś bezimiennych Polaków jeńców i robotników przymusowym, których niemiecki agresor tu na Pełczyckiej Ziemi zmusił do niewolniczej pracy. Dziś wiemy ,że kilku z Nich nigdy nie ujrzało swoich rodzinnych stron i spoczywają w bezimiennych mogiłach na wiejskich cmentarzach. Można mieć nadzieję ,że poprzez ten odnowiony grób powróci o Nich pamięć a Janek Kosynier ponownie niech przypomina o obrońcach polskiego Wybrzeża ,którzy tu przebywali a z których część stała się pionierami polskich Pełczyc. Wszystkim, którzy przyczynili się by spełniły się słowa kard Wyszyńskiego „Gdy umierają ludzie przemawiają kamienie" należą się słowa uznania i podziękowania.

Redakcja KAWALIERY

KAWALIERA
BIULETYN KOŁA NR 21
STOWARZYSZENIA SAPERÓW POLSKICH W DRAWNIE
IZBA HISTORYCZNA ZIEMI PEŁCZYCKIEJ W PEŁCZYCACH

73-220 Drawno ul. Kaliska, Tel. kom.500 358 148

Redaguje Kolegium:
Redaktor naczelny: Andrzej Szutowicz; z-ca red. nacz. Gerard Sopiński
Redakcja nie odpowiada za opinie wyrażane przez autorów artykułów.